Nr. 34. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 19 Sierpnia 1871

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

POLIŚCI, POLANIE I WIELKOPOLANIE

PRZED NASTANIEM POLSKI.

(Ciąg dalszy.)

Blade światełko opromienia mowę Swewów, tudzież ich strój i kapłaństwo, a jasne przyświeca wiedzy o ich dwojakiem rolnictwie, chwilowém, którém się w czasie pochodu na nieprzyjaciela zajmowali, bytując na pewném miejscu, póki nie zebrali tego, co zasiali, i po zbiorze z pól, nie poszli daléj; tudzież o rolnictwie stałém, któremu się oddawali ci, co pozostawszy w domu wojowali na bezrok. O pierwszém rolnictwie mówi Cezar, ale nie tylko Swewom, ale i wszystkim w ogóle Germanom przypisuje ten rodzaj uprawy roli[1]). O drugiém opowiada Tacyt, i również wszystkim ludom germańskim przypisuje go, napomykając, że: gdy nie nawożą roli, i nie zajmują się sadownictwem i ogrodownictwem, ani nie stoją o sianożęcie lecz o sam tylko zasiew zboża i sprzęt[2]), przeto po roku (po wyjałowieniu roli) opuszczają przeszłoroczną, a biorą pod zasiew rolę nową[3]), przez nikogo nie nagleni, ażeby opuścić, co uprawiali w ubiegłym roku, lecz z własnéj czyniąc to woli, i bez żadnéj ze strony sąsiada przeszkody, albowiem wszyscy mają roli dostatkiem[4]).

Rolnictwo chwilowe wyjątkowém było, stałe utrzymywało się wciąż. Drugiemu oddawali się Swewowie z zamiłowania, Germanowie z potrzeby. To też ci nie wiele dbali o niego, i nie zajmowali się niém osobiście, jak pierwsi, lecz kazali w polu innym pracować za siebie[1]). Pomimo więc, że rolnikami nie tylko Swewów lecz wszystkich w ogóle Germanów nazywają Cezar i Tacyt, jednakże rolnikami byli rzeczywiście pierwsi, a nie drudzy.

Jasne światło przyświeca wiedzy o prawie politycznem i prywatném Germanów, pochodzenia tak teutońskiego jak i swewskiego. U pierwszych panowali monarchowie, drudzy gminnie się, po republikańsku, rządzili do czasu, w którym rzymska polityka, narzuciwszy im królów i podtrzymując ich rządy[2]), rozprzęgła przez to swewską rzeszę.

U Germanów dzielono mieszkańców kraju na cztery rzędy[3]), nie równego prawa używające; u Swewów wszyscy byli obywatelami[4]) w obliczu prawa równemi sobie. Różnica wielka obu narodów uwydatnia się

[1]) Caesar de bell. gal. IV. 1. VI. 22.
[2]) Tacyt Germ. 26. Nec enim cum ubertate et amplitudine soli laborare contendunt, ut pomaria conserant, et prata se parent, et hortos rigent; sola terrae seges imperatur.
[3]) Tamże: arva per annos mutant.
[4]) Tamże: facilitatem partiendi camporum spatia praestant.

[1]) Tacyt. Germ. 15. 25.
[2]) Tacyt Germ. 42. mówi: Marcomanis Quadisque, w Czechach i w Morawii mieszkały te ludy, o nich Szembery dzieło str. 43—53. ust. pn. porówn.) usque ad nostram memoriam reges manserunt Marobodui et Tudri genus. Jam et externas patiuntur; sed vis et potentia regibus ex auctoritate Romana.
[3]) Nobiles ingenui, liberti, libertini. Tacyt w Germ. 25. 44.
[4]) Suevorum ingenui, tamże 38.

i w domowém czyli prywatném prawie. W rodach i spadkobraniach szukać należy téj różnicy.

U Tenekterów, ludu skandynawskiego w Germanji osiadłego, członek rodu najstarszy wiekiem wyłączne miał w rodzinie poważanie, a po nim ten z braci, który był od innych żwawszy i waleczniejszy. Ten brał w spadku rumaki, a resztę całego majątku najstarszy odziedziczał[1]). U innych Germanów wszystkie dzieci brały spadek, a niewiasta miała poszanowanie; wujowie bowiem uważali siostrzeńców na równi z własném potomstwem i ci wraz ze stryjami a braćmi spadkodawcy, gdy ten umarł bezdzietnie, odziedziczali po nim majątek[2]).

Oczywiście Germanowie drudzy, różniąc się od pierwszych pochodzących z plemienia skandynawskiego, musieli się liczyć do ludów rodu swewskiego czyli słowiańskiego, gdy z krótkiemi przerwami zrządzonemi przez salicką ustawę, było wciąż u Słowian takie spadkobranie, jakie przyznaje Tacyt Germanom, nie liczącym się do Tenchterów.

W rolnikach, nie z przymusu lecz z ochoty w ziemi pracujących i osobiście ją a nie przez niewolników lub najemników uprawiających, któż nie dostrzeże polistów? Świadectwa historyczne o istnieniu ich w Europie wschodniéj i zachodniéj, sięgają zamierzchłéj przeszłości.

Mówiąc o roli i o szkódnikach polnych, pochodząca z piątego wieku przed Ch. tablica heraklejska, wymienia pierwsza wyraz *ὁ πολίστης*, którego uczony objaśniacz tablicy téj[3]), jak sam zeznaje, nie rozumie. Pokazuje się tenże wyraz następnie u żyjącego w pierwszym wieku po Ch. Józefa Flawiusza Żydowina. Mówi on: „że u Daków zawiązało się bractwo rolników (*πολισταί*), złożone z więcéj jak cztery tysiące głów, które, wierząc w nieśmiertelność duszy, wzięło sobie za hasło pracować w polu, żyć we spólności majątkowéj i bezżeństwie, obywać się bez niewolników, usługiwać jeden drugiemu wzajemnie, tudzież wybierać z pośrodka siebie kapłanów". Uczeni słów tych objaśniacze, porównywając to bractwo z sektą mężów od Strabona nazywanych *κτίσται* (znaczy ten wyraz pracownika w polu, sztukmistrza i t. p.) również w bezżenności żyjących, a tych znowu zestawiając z mezyjskiemi sekciarzami zwanemi od niego *καπνοβατα* (chodzących w dymie palonych ziół na ofiarę bóstwu?), przysparzają dowodów na to, że ludność rolnicza[4]), nie wyłącznie greckiéj będąca narodowości, jak uczą jéj nazwy[5]), przynosząc ze wschodu na zachód wraz z nowemi wiadomościami o technice rolnéj różne wyobrażenia o zasadach towarzyskości społecznéj, usposobiała przez to siebie i tych między któremi osiadała do nowego życia towarzyskiego.

Pokazują się i w starożytnéj Germanii odgadywani dziś poliści, dzięki uczonym niemieckim, którym Kasper Zeuss[1]) i Jakób Grym[2]) przodują. W powody, dla czego to czynię, nie wchodzę, i dosyć mi na tem, że badania ich o polistach rzucając wielkie światło na przyczynę pojawienia się w Germanii Swewów, i na osady w dzisiejszéj Francyi po lewéj stronie Renu położone, przez rólniczą ludność zamieszkane, zwracają uwagę. Badania te dają też możebność wniknąć w znaczenie bajdy nad bajdami o szwagrostwie polskiego księcia z rodu Lechów, który miał być z rzymskim wodzem Juliuszem Cezarem przez swą żonę a wodza tego siostrę skoligacony.

Zastanawiając się Tacyt nad mieszkańcami Germanii pierwotnéj, wyznał: że „rozumie ich być właściwemi ziemi swojéj rodakami, nie mającemi nic wspólnego we krwi z przychodniami obcych narodów, bo i któżby (dodaje) odważył się zamienić Azyą, Afrykę i Włochy na siedziby, posadą miejsca, ostrością powietrza, obyczajami ziemianów smutne i dzikie?"[3]) zapomniał wielki ów historyk o tem, że z potrzeby, rzuca się dawną a rozkoszną ojczyznę, i przenosi się na mieszkanie do ziemi, wcale niepowabnéj. W takiéj potrzebie znajdowali się nie raz, nie dwa, poliści. Ciśnieni od scytyjskiego, trackiego, dackiego itd. wojaka, który żył z rolnika pracy, uciekali od dolnego Dunaju ku górnemu, idąc wzdłuż rzeki. Ten goniąc za nimi podbijał co tylko żyło i pod swoją zagarniał władzę. Tym sposobem wyjaśnia się bytność Słowian na zachodzie w czasach nie pamiętnych[4]). Ztąd też pojmujemy, dla czego Scytowie posunęli swe władztwo na zachodzie aż, jak Pliniusz mówi, do granicy Celtów, czyli doszli prawie do Renu niepodal źródeł Dunaju, a na wschodzie panowali w stronach dzisiejszéj Warny, śmiercią naszego Władysława Warneńczyka słynnéj[5]).

Na wielki ten wypadek dziejów składa świadectwo nie samo tylko pismo, lecz stwierdzają to wymowniejsze od niego nazwy gór, rzek, pól i t. p.[6]). One to kładą niczem nie zbity dowód na to, że dzisiejsza Szwajcarja, Bawarja, wielkie księstwo badeńskie, Wirtembergia, całe nawet obecnie jeszcze półsłowiańskie, półniemieckie, arcyksięstwo austryackie, przepełnione było słowiańskością i celtyzmem, a w końcu dopiero nasiąkło teutonizmem. O północnych Niemczech toż samo mówi historja.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

[1]) Excipit filius non, ut cetera, maximus natu, sed prout ferox bello et meliore, mówi Tacyt w Germ. 32.

[2]) Tenże w rozd. 20.

[3]) Al. Sym. Mazochij Comentarii in regii herculeensis musei Heracleenses tabulas, w Neapolu 1754—5 w kształcie arkusza w dwóch częściach wydane dzieło. Patrz I. str. 222.

[4]) Patrz trzy owe wyrazy *πολίστης*, *κτίστης*, *καπνοβατης* w słowniku sześciotomowym, w kształcie arkusza wydanym pod napisem: Thesaurus graecae linquae ab Henrico Stephano constructus excudebat. Parisiis Firmin Didot.

[5]) Ch. G. Groskurd tłomacz Strabona na język niemiecki (wyszedł jego przekład w Berlinie i Szczecinie 1831) mówi: Że owe trzy wyrazy są mowie greckiéj obce, w jéj formę tylko przybrane.

[1]) Die Deutschen und die Nachbarstämme. München 1837 Patrz str. 388—94.

[2]) Gesch. der deutsch. Sprache, str. 568, jego Wörterbuch p. w. Anger łąka, Feld pole.

[3]) Tacyta Germ. 2. według przekładu Naruszewicza.

[4]) Patrz Ukerta Skythien und das Land der Geten oder Daker. Weimar 1846, str. 349.

[5]) Czytaj piękny artykuł Andrz. Kucharskiego w Bibliot. Warsz. r. 1855. II. 510—21 umieszczony o lacus mursianus (dziś Bodensee) mylnie od Lelewela (Narody na ziemiach słowiańs. przed nastaniem Polski, str. 554.) za jezioro Ramsin około Warny stojące pokładany. Słowa Jordanesa: Scythia Germaniae terrae confinis eo tenus ubi Hister (Dunaj, sam to Lelewel tamże 25 zeznaje,) oritur amnis, przekonać go mógł o pomyłce.

[6]) Victor Jacobi w dziele die Bedeutung der böehmischen Dortnamen für Sprache und Weltgeschichte nachgewiesen. Leipzig 1856.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Gdy przyszła ostateczna chwila pożegnania, opłakiwana już długo naprzód łzami hrabiny, okupiona całą boleścią jéj szlachetnego, macierzyńskiego serca, Oktaw zdawał się być bardziéj rozrzewnionym od matki. Jarska bowiem dobyła wszelkich sił, wezwała do pomocy całe męztwo swéj duszy, aby zachowaniem się swojém przejąć otuchą odjeżdżającego syna.

— Jedź tedy, drogie dziecko moje — zawołała w ostatniéj już chwili hrabina — i niechaj cię Bóg błogosławi!... Pamiętaj, że się nazywasz Jarski, i że zostawiasz tu serce, które każdem swém tętnem wiąże się z twojém szczęściem i twojemi losami! Te dwie myśli niechaj tobą kierują we wszystkiém, cokolwiek poczniesz podczas naszego rozłączenia!...

Oktaw wyjechał z ciężkiem sercem, ale nim jeszcze stanął w granicach rodziméj ziemi, odzyskał już napowrót całą swobodę i wesołość młodzieńczą. Począł marzyć o przyszłych sukcesach, o olśnieniu salonów swém zjawiskiem, o zdobyczach serc niewieścich, o jakichś przecudnych czarnych oczach, które go wyglądają umyślnie i z tęsknotą, o świetnéj karjerze, o wielkiéj fortunie z wygranego procesu i o tylu innych przeróżnych rzeczach...

Do tego wszystkiego nie potrzeba mu było nawet roku, jak to przewidywała matka, dość było kilku miesięcy, zdaniem jego... W przeciągu tych kilku miesięcy wygra proces, unieszczęśliwi dwanaście dam pięknych, uszczęśliwi trzynastą, która będzie cudownie piękną i po azjatycku bogatą, sprowadzi matkę i mnóstwo jeszcze innych dokaże rzeczy...

— Zobaczymy, o ile się spełniły marzenia Oktawa.

Gdy młody Jarski stanął w kraju, zgłosił się natychmiast do Rokickiego, któremu go jako krewnemu polecała gorąco matka. Tu zaraz na wstępie doznał dwóch wrażeń odmiennych, owszém, wręcz sobie przeciwnych. Jedno z nich było niemiłe, zniechęcające, i wyglądało na szyderstwo z owych marzeń i pięknych planów, które się roiły po głowie Oktawa — drugie było przyjemne i zachęcające i zdawało mu się być dobrą wróżką przyszłych powodzeń.

Pierwsze wrażenie było dziełem jenerała Rokickiego, drugie jego żony, pięknéj hrabiny Adeli...

Rokicki przyjął wprawdzie Oktawa życzliwie i z uprzejmością, która mimo że ujęta była w pewne formy żołnierskiéj szorstkości, była szczerą i prawdziwą, ale słowa jego padły jak zimna woda na rozmarzoną głowę młodego optymisty.

— Czytałem list twojéj matki, mój Oktawie — rzekł mu zaraz na wstępie jenerał — i jakkolwiek pisany jest nie zupełnie otwarcie a może nie zupełnie jasno, domyślam się z niego dwóch rzeczy: po pierwsze, że oprócz szczupłych funduszów, które ledwie wystarczą na utrzymanie matki, nie posiadacie żadnego majątku, powtóre, że przybywasz tu, aby rozpocząć jaką karjerę i dobić się stopnia, któryby ci byt i przyszłość zapewniał...

Słowa te, wypowiedziane z żołnierską prostotą i szczerym naciskiem, niemile bardzo uderzyły Oktawa. O czém dobrze wiedział jenerał, to zaledwie przeczuwał Oktaw. Matka nigdy nie mówiła mu tak stanowczemi słowy o stosunkach majątkowych. Zmięszał się tedy młody nasz bohater i po chwili przykrego milczenia odpowiedział:

— Stosunki nasze istotnie niepomyślne są chwilowo, jednakże nie sądzę, aby nie dawały nam rękojmi bytu tak długo, dopóki...

Tu zaciął się Oktaw i przerwał...

— Dopóki własnemi siłami i własną pracą nie wyrobisz sobie sam świetnéj pozycji w świecie? nieprawdaż? — dokończył jenerał z lekkim uśmiechem ironicznym.

— Lub dopóki nie rozstrzygnie się proces, który wróci nam to, co, jak jenerał wie zapewne, należy nam się tytułem wszelkiéj sprawiedliwości... — dodał Oktaw.

— Więc się źle domyśliłem — rzekł jenerał, mierząc bystro oczyma Oktawa — widzę bowiem, że masz więcéj ufności w proces, niż w własne siły...

Oktaw, który czuł się odgadniętym przez jenerała, nic nie odpowiedział na te słowa.

— Mój chłopcze — rzekł wtedy jenerał nie spuszczając swych pięknych, wyrazistych oczu z twarzy Oktawa, — wysłuchaj dobrze, co ci powiem, a bierz moje słowa tak życzliwie, jak ja je sam rozumiem. Dowiedz się najpierw, że szczerze pragnę się zająć twoim losem. Aby jednak stanowczo opiekować się tobą, potrzebuję mieć pewność, że chcesz śmiało i poważnie zaglądnąć w oczy światu i życiu, aby zaś osiągnąć taką pewność, muszę wiedzieć, czy bierzesz ów wielki proces w rachubę twoją, czyli też zapomnieć o nim chcesz zupełnie?...

— Czyż jedno z drugiem nie da się połączyć z sobą? — zapytał nieśmiało Oktaw.

— Żadną miarą, mój chłopcze! — odparł żywo i stanowczo jenerał.

— A przecież mama...

— Mamie wolno wierzyć w pomyślny obrót rzeczy — przerwał Rokicki — jest kobietą, a kobiecie wolno mieć illuzje. Potrzebne jéj one do życia. Matka twoja łudzi się, bo cię kocha, ty zaś wprost przeciwnie działać musisz: niewolno ci się łudzić, jeźli ją kochasz!

— Mówiono nam...

— *Pardon, mon jeune ami...* — przerwał znowu Rokicki — pozwól sobie zrobić jedną uwagę. Nie mów nigdy: mówiono nam, ale mówiono *mi*. Ta liczba mnoga nie przystoi ci teraz, kiedy sam za siebie masz działać i myślić. Zdradza to, że się oglądasz jeszcze na matkę, na jéj opiekę, na jéj pomoc. O tém przedewszystkiém zapomnieć musisz! Azatém, mówiono ci...

— Mówiono mi — ciągnął daléj w pomięszaniu Oktaw, który po raz pierwszy znajdował się w podobnéj pozycji — że proces ten jest słusznym zupełnie, że mamy wszelkie możliwe szanse, i że w najkrótszym czasie musi być wygranym...

Jenerał zaśmiał się cierpko.

— *Oui, il a des juges a Berlin!* Mój drogi, wszystko to być może, ale wierz mi, że jeśli nie chcesz, aby ten proces stał słę klątwą twego życia, kulą ołowianą u nóg, złym duchem kusicielem, przestań o nim myśleć zupełnie... Byłem u waszego adwokata i rozpatrzyłem się w całéj téj sprawie. Nikt nie jest w stanie obliczyć, kiedy się skończy i jak się skończy. Porzucać jéj nie należy, bo macie sprawiedliwość po waszéj stronie, ale liczyć nań nigdy ci nie wolno! Czy dasz mi na to słowo?

Oktaw machinalnie wyciągnął rękę, ale na twarzy jego przebijał się wyraz rozczarowania i przykrego zniechęcenia.

— Teraz możemy już mówić wyraźnie z sobą — rzekł jenerał. — Pomyślmy tedy o twojéj przyszłości. Jaki zawód sobie obrać zamyślasz?

Oktaw odpowiedział na wpół zakłopotanem na pół

zdziwionem spojrzeniem na takie obcesowe zapytanie. Jenerał mówił do niego językiem, którego Oktaw nie rozumiał. Praktyka życia, cały realizm jego faktycznych potrzeb i stósunków, były dla niego żelaznym wilkiem. Nigdy nie zastanawiał się nad tem.

— Źle postawiłem pytanie – ozwał się znowu jenerał, nie czekając na odpowiedź. — Powiedz mi raczéj, czego się uczyłeś?

To drugie pytanie było jeszcze fatalniejszém dla Oktawa. Zarumienił się tylko i spuściwszy oczy, milczał. Jenerał chcąc mu przyjść w pomoc, począł go egzaminować. Stawił mu mnóstwo pytań i wybadywał, czego się uczył i jakie ukończył szkoły.

Egzamin ten wypadł jak najgorzéj. Pokazało się, że Oktaw uczył się wszystkiego, a nie umie nic, że miał mnóstwo profesorów, a nie ukończył formalnie ani jednéj klasy, że uniwersytetem był mu salon a dyplomem dobra opinia matki o ukochanym jedynaku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIOSENKI.

VII.

Przebudzenie.

Popychana miękką ręką,
Kolebeczka się kołysze,
I piosenka za piosenką,
Słodko spływa w nocną ciszę,
Lekki oddech dziecka słyszę,
Księżyc patrzy przez okienko.

Przez okienko księżyc patrzy,
Nachyla się i zagląda...

Rozrzucone złote włoski,
Rozchylone wpół usteczka,
I snów jakichś tajne głoski
W twarzy śpiąca ma dzieweczka,
Nad nią jasny anioł boski
Stoi w głowach u łóżeczka...

Płomień lampy coraz bladszy,
Świt z za dachów już wygląda...

Wszystko scichło. — Nad kołyską
Pochylona matka marzy,
Cicha radość na jéj twarzy,
Całe szczęście przy niéj blisko —
Dziecię przez sen szepce — gwarzy
Rajskie widać śni zjawisko!...

Na dzień dobry Panu Bogu
Dźwiękły chóry już ptaszęce...

Wschodu barwa purpurowa,
Smugą się do izby wkrada,
Kołyseczka już różowa,
Księżyc we mgły lica chowa;
Budzi się i drżąc, nie rada
Patrzy we drzwi matka blada:

A tam... Dzisiaj stoi w progu,
Załamane mając ręce...

Wł. Ordon.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Z żywą ciekawością i zajęciem my, których obowiązki przykuły do domu, odbieramy nowiny o przyjęciu, zabawach i owacjach jakiemi Lwów a po drodze i Kraków obdarzają przybyłych gości. Sercem bierzemy udział w liczném, choć nieco chłodném powitaniu Krakowian — w czarującym koncercie w ogrodzie Strzeleckim w Krakowie i uczcie, jaka po nim nastąpiła, i zdążamy całą siłą naszych pragnień za współobywatelami naszemi wstępującemi już w gościnne mury Lwowa. Wszystkie dzienniki otworzyły osobne działy dla téj uroczystości. — Lwów, jak słusznie przewidywaliśmy, przyjmuje większą liczbę gości, aniżeli się jéj spodziewał. Nie my wprawdzie stanowimy główny kontyngens — to pewna jednak, że kwatermistrze lwowscy w kłopocie, jak pomieścić przybywających. — Pomimo, że arystokracja i bogatsi mieszczanie Lwowa usunęli się prawie, świetność przyjęcia nic na tém nie straci.

Donoszą nam oprócz innych objawów, o licznych odezwach i poezjach przechodzących z rąk do rąk we Lwowie. Nawet Rusini gorąco i serdecznie objawili swoją radość. — Wymownym ze strony ich głosem jest piękny wiersz powitalny jednego z rusińskich poetów.

Przytaczamy dwie z pięknych zwrotek téj poezyi w oryginale, ażeby nie naruszyć malowniczéj i słodkiéj dla naszego ucha melodyi języka Padury.

„Héj krakiwski dzwoniat w dzwony,
Switom hołos czuty
Z hrobiw kłyczut Jahajłony,
Piasty, Korybuty,
Wo imia Otca i Syna,
To nasza mołytwa
Jako Trojca, tak jedyna
Polszcza, Ruś i Łytwa! —

* * *

„A dast' Hospod' harazd bude
U naszéj witczyni
Pijdem sy tohdy swobodni
Kruhom po hostyni.
Z Kijewa héj do Warszawy
Wilna i Krakowa
Do Cieszyna i Poznania,
Do Gdańska i Lwowa!"

Daj nam Boże dożyć spełnienia tego proroctwa!...

* * *

Z téj podróży duchem wypada nam wrócić i zwinąwszy skrzydła wyobraźni, zejść na bruk naszego miasta, rozpalony i zakurzony. Z bieżących faktów nic zaznaczyć nie możemy, oprócz przedstawień akrobatycznych w Volksgartenie, — pielgrzymek gromadkami do Bartoldowa i Szelążka i cierpliwych spacerów po placu Wilhelmowskim i epidemicznego ziewania.

Natomiast najbliższa przyszłość zapowiada nam fakt, który istotnym i nader ważnym wypadkiem będzie dla naszego miasta.

Chcemy tu mówić o zapowiedzianéj i za kilka tygodni mającéj się otworzyć przy ulicy Wilhelmowskiéj księgarni p. F. H Richtera ze Lwowa. Nowy to żołnierz na polu walki przemysłowéj i ekonomicznéj z naciskiem niemieckim i dla tego z radością zapisujemy tu jego nazwisko. — P. Richter jest pełnym zdolności i energii pracownikiem w swoim zawodzie. — Zaszczytne pod tym względem świadectwa daje mu Galicya, gdzie w krótkim czasie ilość czytelników i odbiorców ogromnie powiększył, utworzył i postawił najpomyślniéj dwa takie wydawnictwa jak Strzecha i Biblioteka Narodowa, nie mówiąc już o żartobliwym i poszukiwanym kalendarzu Chochlika — wreszcie rozwinął do stopnia europejskiego zakładu, ogromną księgarnię swoją we Lwowie. — Instalacja nowéj księgarni ma nastąpić za czas bardzo krótki, za kilka tygodni podobno — i jesteśmy przekonani, że p. Rychter przychodząc z dobrą wolą, znacznemi siłami i zamiarem uczciwéj konkurencji zyska wnet poparcie i uznanie u publiczności naszéj i współzawodników swoich w tym samym zawodzie.

* * *

Dzienniki przepełnione są opisami rozprzestrzeniającéj się cholery. Złowroga ta podróżniczka wyszedłszy z Azji, powolnym ale pewnym krokiem posuwa się naprzód. Uczuła już jéj pierwsze dotknięcie Warszawa; w naszém niedalekiem sąsiedztwie w Królewcu i Gdańsku pokazały się jéj objawy. Gość to niedawno jeszcze rzadki, od kilkunastu lat perjodycznie oddaje przerażającą wizytę Europie. Powiększenie się środków komunikacyjnych, wpływa na rozprzestrzenianie się téj strasznéj choroby. Zastąpiła ona inną plagę — o któréj ledwo z legend średniowiecznych dowiedzieć się dziś można — morową zarazę. Nigdy jednakże nie doszła do takiéj srogości i nie popełniła tyle spustoszeń — ile jéj siostra. Nie porusza ona tysięcy ludzi i nie rzuca ich jak tamta w pielgrzymki pokutnicze przez kraje, biczujących się i zrozpaczonych — nie wciąga szalonych trwogą tłumów w zawrotny taniec śmierci i nie pustoszy miast całych, jak mór niegdyś. Zyskaliśmy na zamianie. Powiem nawet, że cholera jest o połowę mniéj groźną, jeżeli się ją spotyka z odwagą i spokojem, z dobrym humorem, jeżeli nie robi się jéj honoru zmieniania dla niéj przyzwyczajeń i sposobu życia. Bojaźliwi i zbyt przezorni najczęściéj padają jéj ofiarą. Tymczasem mam nadzieję, że w zwycięzkim swoim pochodzie ominie ona naszą prowincję i powróci, nie dotknąwszy nas, do kolebki swojéj pomiędzy trzcinami Gangesu na, daj Boże, jak najdłuższy spoczynek.

Więcéj od cholery obawiamy się innéj rzeczy, która nam zagraża, a mianowicie braku teatru na nadchodzącą jesień i zimę. Dotychczasowa trupa bawi w Kaliszu i nic nie wskazuje, ażeby miała ochotę prędko do nas wrócić, owszém, o ile wiemy, p. dyr. Nowakowski przylgnął mocno do zacnych Kaliszan, którzy mu niewątpliwie wzajemną sympatją odpłacają. Tym sposobem horyzont naszych zabaw zimowych straszliwie by się zachmurzył. Chybabyśmy potrafili skłonić naszych przyjaciół z gromadki artystycznéj, która Poznań opuściła, do dezercji ze wspólnego obozu, i uprosić p. Józefa Rychtera lub Kalicińskiego o przewodniczenie jéj i odnowienie nam roskoszy umysłowych, których przez kilka miesięcy byliśmy pozbawieni. Inaczéj pozycja nasza byłaby bardzo smutna — gdyby przyszło czekać bez teatru aż nowy teatr stanie!

Ażeby raz zakończyć wreszcie, z wiadomości miejscowych powiemy jeszcze, że słyszeliśmy o projekcie wydania kalendarza fotograficznego, ściennego na rok przyszły — powziętym i już wprowadzonym w wykonanie przez jednego z miejscowych polskich fotografów. — Pomysł ten ze wszech miar szczęśliwy, zasługuje na uwagę. Próby w tym rodzaju wielce udatne wydał w Warszawie Brandel. Zawierają one zwykle szereg fotografji bardziéj znanych postaci w różnych kierunkach miejscowego ruchu, miejsc i wydarzeń godniejszych zapisania z historji roku, a jeżeli jeszcze układ artystyczny, arabeski i symbole ożywiają podobny kalendarzyk — może on być ozdobą najwykwintniejszego salonu i miłą pamiątką. Wszystkiego tego możemy się spodziewać po zapowiedzianym kalendarzu, znając rękę, która go ma wykonać. Jak tylko mieć będziemy prawo do bliższych i bardziéj szczegółowych wiadomości, podzielimy się niemi z czytelnikami.

* * *

Wytrząsamy tekę naszą aż do głębi i spostrzegamy że próżna. Ledwo ze świata artystycznego pozostaje nam kilka nowin do zapisania.

Jedną z nich jest — Moniuszko, jako autor.

Tak jest. Genjalny kompozytor, chcąc zostawić, jako pedagog muzyczny, pamiątkę po sobie, wydał świeżo u Hosicka w Warszawie: „Pamiętnik do nauki harmonji.“ Książka ta obejmująca jasny i gruntowny wykład prawideł harmonji, mieści w sobie 16 działów. — Wkrótce ukazać się ma podobno jego: „Nauka kontrapunktu.“

Z tego samego świata dochodzi nas wieść o mającém się wkrótce ukazać na Górnym Szląsku czasopiśmie muzyczném — które wychodzić będzie z początku dwa, potém cztery razy na miesiąc. Od niejakiego czasu pisma nasze gorąco zajmują się kwestją śpiewów polskich rozłożonych na głosy. Nowe czasopismo zjawia się, chcąc zaradzić brakowi tych śpiewów. Obiecuje ono liczne dzieła na trzy i cztery głosy męzkie i wzywa o poparcie. — Pewni jesteśmy, że je znajdzie. **Wł. Ordon.**

Korespondencje z Warszawy.

Warszawa 2 sierpnia.

U nas na brak mniéj lub więcéj smutnych nowin uskarżać się nie ma powodu. Tak niniejsza jak i następne korespondencje będą echem życia umysłowego i społecznego, a nieco i politycznego o ile to dotyczy przygnębianéj naszéj narodowości.

Wyjdźmy na ulice mazowieckiego grodu, a uderzy nas od razu pstrokaty widok kobierców, flag, lampionów, kagańców, transparentów i innych ucieszných wskazówek obecności cesarza rosyjskiego w Warszawie. Przed chwilą właśnie widziałem go wraz z namiestnikiem wracającego cwałem z pól powązkowskich, gdzie odbywał rewję wojsk. Toż samo było onegdaj i wczoraj, toż samo będzie jutro i pojutrze. Wieczory spędza on w teatrze gwoli zmysłom swoim na balecie. Na ulicach przyjmowany bywa przez przechodniów zupełnie chłodno. Czuje to zapewne, gdyż siedzi w powozie z obojętną i posępną miną, wyprzedzając falangę dorożek napełnionych oberpolicmajstrami, policmajstrami i innymi majstrami pędzącymi żywot próżniaczy i pijacki. Dzisiaj, aby okazać panu swemu skromne swoje życie, jeżdżą dorożkami — w ciągu roku rozbijają się w powozach o świetnéj zaprzęży.

Przed paroma dniami przyszedł do jednego z miej-

skich obywateli tak zwany rewirowy i z uśmiechem na twarzy zwraca uwagę wspomnionego właściciela domu: że teraz nie mamy prawa nakazywać obywatelom, aby przyozdabiali domy swoje w kobierce i światła, ale on, rewirowy, sądzi, że pan X. okazałby się bardzo dobrze wychowanym człowiekiem, gdyby tę rzecz z własnego urządził natchnienia. Pan X. również miłym odpowiedział mu uśmiechem; lecz mimo to wieczorem dom jego ukazał przechodniom zwykłą swoją powszednią fizyognomję. Nazajutrz zjawia się inny rewirowy i mimochodem pomiędzy innemi zwraca uwagę pana X., że z niego figlarz prawdziwy i że uważał jakoby komisarz cyrkułowy okazał pewne zdziwienie spostrzegłszy dom jego smutniejszym od innych. Pan X. zwraca uwagę rewirowego, że ponieważ jego cała rodzina a więc i służba spędza czas na letniém mieszkaniu, nie ma więc kto zająć się przyozdobieniem domu we właściwe światła i bandery; jemu zaś, jako właścicielowi kamienicy, nie wypada jakoś, dźwigając kosze łojem napełnionych kagańców, pospolitować się publicznie po drabinach. Rewirowy znalazł uwagę pana X. arcy-dowcipną i wyszedł w naiwném przekonaniu, że X. nareszcie zrozumie znaczenie delikatnéj wizyty naczelnika (!) rewiru. Lecz o dziwo, w ciągu dnia i wieczorem na domie w mowie będącym niespostrzeżono najmniejszéj zmiany! Dnia następnego pan X. otrzymuje formalny przykaz od cyrkułowego komisarza, aby nie odróżniał się od rozumnéj swojéj braci po hipotece... Pan X. z uśmiechem starożytnego filozofa zauważywszy, że im widocznie chodzi o zbawienie jego duszy, kazał stróżom swoim wywlec ze spiżarni miłe chorągiewki i takowe jako symbol płomiennéj miłości do dynastji Romanowów pompatycznie zatknąć na balkonach.

Należy dodać, że na cześć JCM. Alexandra nagromadzone masy wojsk zarażają powietrze, tak że obecnie już drobniejsze objawy cholery nie są u nas rzadkością.

Publikują obecnie urzędownie nową reorganizację średnich zakładów naukowych. Zasadza się ona na tém, że kurs będzie ośmioletni, że oprócz języka rosyjskiego, który, rozumie się, jak dotąd musi być wykładany, łacina i greczyzna masami będzie wykładaną. Właściwie w szkołach naszych organizacji żadnéj nie ma; albowiem corocznie inna następuje. Nie ma tu miejsca na szczegółowe rozpisanie się o tych organizacjach, ale trzeba mieć chyba rybią duszę, aby nie oburzyć się na szkólne nasze porządki, które fizycznie i moralnie zabijają młodzież. Sądzę, że więcéj w tém jest głupoty jak złości, ponieważ reorganizacja stósuje się do całéj imperji.

Czy rusyfikacja kraju naszego wyda oczekiwane przez rząd moskiewski skutki? Na to zapytanie można odpowiedzieć stanowczém „nie“. Kto nas uczy mówić po polsku? Matki Otóż matki te w dziewiczym wieku swoim uczęszczają do szkół, gdzie ze wszystkich katedr praktykuje się ruski wykład. Panny zmuszone słuchać takich wykładów, w domu, o ile czas na to zezwala, uczą się po polsku. Kończą gimnazyum, a wtedy rosyjskie książki idą w kąt. Do końca swego życia nie przyjdzie im się spotkać z mową lub lekturą moskiewską, wyjąwszy panny oddające się zawodowi nauczycielskiemu, których przecież procent jest bardzo mały. Otóż kobiety wychowane w rosyjskich szkołach tak jak mówiły tak i mówić będą po polsku; dzieci swoje wychowywać w tym języku. — Niech nam tu historyk w pomoc przyjdzie. Czesi przez całe wieki z bezprzykładną energją i systematem germanizowani, w końcu przychodzą do samopoznania narodowego bytu i w tym kierunku w ostatnich dziesiątkach lat, jak wiadomo, żywo postępują. Ale cóż za porównanie? W chwili gdy cywilizacja germańska bogactwem duchowych i estetycznych zasobów swoich sama ku sobie nęci co już ogromnie pomaga do germanizowania obcéj narodowości, Rosja... otóż Rosja... il n'y a pas de danger! Rosja duchowo zbyt słaba ulegnie raczéj silniejszemu od niéj polonizmowi. W téj chwili mniéj. Wściekli są i urażeni rewolucyą naszą ostatnią. Lecz poczekajmy. W Wilnie język polski dla potocznego użytku publicznie wzbroniony, od niedawnego czasu powraca zwolna do swoich przywilejów. — W przyszłéj korespondencyi podam rzecz o dziennikach i teatrze, jako o jedynych u nas publicznych przytułkach, polskiéj narodowości. Z.

Warszawa 4 sierpnia.

W melancholijném usposobieniu siadam do pisania tego listu do was. Warszawa pusta i cicha, słońce schowało się za ołowianych chmur morze i tęsknota jakaś osiadła na poważném licu stolicy. Car odwiedzić nas raczył i bywał na baletach, któremi go zawsze raczy tutejsza Dyrekcja — wszystko co żyje, albo lepiéj, ma pieniądze, porzuca Warszawę dla wsi i jéj rozkosznych przymiotów — my tylko Goljaty musimy tu siedzieć i patrzeć jak literatura i wszystko świeci pustkami. Czasy ogórkowe! Z nowości w handlu księgarskim ukazała się ciekawa broszurka Lucjana Siemieńskiego drukowana w Krakowie o Wacławie Rzewuskim, owym Farysie, co „jak łódź wesoła“ puszczał się na pustynię. Jest to jedna z gwiazd upadłych z horyzontu naszego, gwiazd zgasłych bez celu... Siemieńskiego warto przeczytać, tém więcéj, że jak powiadam, tutejsze piśmiennictwo świeci pustkami. Dziewiczy Bluszcz skończywszy liczne opowiadania o wojnie francusko-pruskiéj i prusko-francuskiéj, zasiadł w słodkiéj kontemplacji i marzy o niebieskich migdałach. I gdyby nie nieśmiertelna pani Lucyna Ćwierciakiewicz, która w jego części przeznaczonéj na gospodarstwo i modę, zapowiada nowy sposób przygotowywania pieczeni z jéj własnym sosem (sic) — to nie byłoby już co czytać. Zostawiając adeptom kulinarnéj sztuki próby z pieczenią pani Ćwierciakiewicz i z jéj własnym sosem, co entre nous soit dit nie bardzo musi być smakowite — przechodzimy do Opiekuna Domowego, który w nowych młodych rękach winien by wstrząść zbutwiałą rutyną literacką i na świeże ją pchnąć tory. Ale Opiekun Domowy nie czując się widno dość silnym, zapisuje się powoli do bractwa wzajemnéj adoracji i wszystkim bakę świeci. Więc wychwala niefortunną Kronikę Rodzinną, pismo ultra-katolickie i arystokratyczne, zacofane aż do obrzydzenia, którego całą zasługą przez ciąg tych kilku lat istnienia jest wydrukowanie głośnych Listów Odyńca — zresztą nic więcéj. Daléj Opiekun Domowy daje na pierwszéj tytułowéj swojéj karcie portret Wacława Szymanowskiego i jego życiorys, napisany przez pana M. Rzętkowskiego, w którym aż odurzenia można dostać od kadzideł. Szymanowski bez zaprzeczenia był talentem, który jednak zmarnował się na feljetonie i dziś jest to pustka trumienna. Obdarzony zdolnością łatwéj i wytwornéj choć bezsilnéj wersyfikacji, pisał wiele, a wszystko mdłe i bezbarwne. Owóż Opiekun Domowy stawia mu teraz pomniki... Jest to bardzo zaszczytne tak dla Opiekuna, jak i dla Szymanowskiego. Daléj nieszczęsne to pismo karmi się poezjami domorosłego poety Podwysockiego — biedy nad biedami — nędzarza umysłowego i talentu — i otóż macie wszystko. Przegląd Tygodniowy wciąż tylko o prostytucji rozprawia, jak gdyby już innych ran nasza społeczność nie miała — a w Echach stępione pióro staje się coraz mniéj dowcipném. Kłosy, żydowskim zwyczajem, karmią się przeróbkami drzeworytów z zagranicznych illustracji — co naturalnie znacznie taniéj wychodzi. Takie to są rzeczy na tym bożym świecie. W teatrze z powrotem Rapackiego z podróży pojawiają się lepsze rzeczy. Serafina pana Sardon nie bardzo jakoś idzie — prawdopodobnie w końcu upadnie. Panu

Dzikowskiemu ministerjum udzieliło pozwolenie na wydawanie dwutygodnika humorystycznego p. t. Kolce — jaki to tam będzie humor nie wiemy i przesądzać nie chcemy. X.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Bank zabezpieczenia na życie Dr. Rejewskiego.

Charakterystyczną cechą organicznych istot jest, że się rozwijają, tj. że się powiększają, rozrastają, że z wewnątrz siebie coraz większą na zewnątrz przestrzeń zajmują. Organizm, który przestaje rozwijać się, rosnąć, jest chory, zdążający do upadku, do rozkładu.

Pojedyńczy człowiek, jak całe narody, jako organiczna całość ulegają temu prawu pod wszelkiemi względami; brak rozwoju i tu jest znakiem choroby ludzi i ludzkich towarzystw.

Czyż wolno zabrać się po poznaniu charakterystycznego znaku chorobliwego stanu, do stawiania djagnozy naszego spółeczeństwa?

Oh! już wiele wieków upłynęło kiedy nasz naród zaprzestał na zewnątrz rozwijać się, siłą swoją oddziaływać na ościenne ludy i tym sposobem dać im znać że żyje. Szalono-romantyczny pochód pod Wiedeń dla uratowania Austryi, czyli jak dla zamydlenia oczu narodowi powiedziano, dla uratowania wiary, był ostatnim znakiem naszéj wewnętznej siły, a raczéj piewszym znakiem paroksyzmu, boć to i chory nieraz na zewnątrz siłą oddziaływa.

Od owego czasu życie nasze tylko objawiało się od czasu do czasu w drganiach, konwulsjach, które nasze siły coraz bardziéj wyniszczyły, wyczerpały. Tak objawiało się nasze polityczne życie przez ostatnie dwieście lat, a sąsiedzi nam go nie pozazdrościli, ani się też nad nami nie litowali, chyba tak jak się litują dzisiaj w północnéj Azji nad miłym ich sercu chorym, — że go dobijają, by się dłużéj nie męczył!

Zbyt daleko odskoczylibyśmy od przedmiotu, gdybyśmy śledzili za rozwojem naszego narodu w innych kierunkach życia, w kierunku wiedzy np., bo w takim razie nie spotkalibyśmy się z wielką liczbą nazwisk ludzi, którzy nas i ludzkość daléj posunęli. Tylko w jednym kierunku dotrzymaliśmy kroku innym narodom, może nawet prześcignęliśmy ich, jeśli nie jakością, to przynajmniéj ilością; w kierunku poezji. Poetów, — wszystko jedno czy wierszem, czy prozą piszącycb, — jest u nas niesłychane mnóstwo, i sam spis ich nazwisk napełniłby bardzo spory tom, choćbyśmy nawet nie podawali treści lub nie treści ich duchowego utworu. Każdy z tych poetów napisał swoje mrzonki, swoje zdania, swoje widzimi się i starał się niemi unosić nas wysoko ku słońcu na skrzydłach Ikara, wmawiając w nas, gdy te skrzydła się roztopiły a my na ziemię upadli, że to nic, że my od tego Polacy, żeby żyć — — idealnością, mieć polot idealny a nie garnąć się do brudnéj, ciężkiéj materji. Czyż my to na wieki przeklęci żyć tylko w powietrzu! Czyż wiecznie obojętnie odpychać będziemy sami ziemię, a mimo to potem krzyczeć w niebogłosy, że nam ją z pod nóg wydziera cudze plemię?

Cóż robiliśmy z ziemią odziedziczoną po przodkach? Eksploatowaliśmy ją systematem rabunkowym, wycięliśmy lasy, że zaledwie tu i owdzie słabe ślady się pozostały; daliśmy wiatrom swobodę nanosić piasek na żyzne niegdyś łany, — i narzekaliśmy na coraz większą biedę, na coraz mniejsze urodzaje. Dopiero kiedy kto wyszedł z odziedziczonego gospodarstwa, jak panna z tańca, kiedy ziemia przeszła w ręce cudzoziemca, który z każdym rokiem większe zbiera plony, spostrzegliśmy, że — nam ziemię wydarto, że nas oszukano, że ona ma większą wartość, niżeli ją szacowano, — bo nie umiemy liczyć pracy, jaką przybysz łoży na podniesienie wartości zaniedbanego przez nas gospodarstwa, i nie widzimy, że przybysz gospodarzy inaczéj, bo oszczędniéj żyje, aniżeli my, idealni ludzie, żyliśmy.

Jak ze ziemią, tak i z przemysłem i z hadlem rzeczy się miały. Dawniéj te zajęcia hańbiły obywatela, jak w Grecji rólnictwo, a i dziś zdaje się, że u nas jeszcze bardzo wiele „ostatnich z Siekierzyńskich“. Przemysłu własnego nie mamy, zatem i nie mamy własnego handlu, a mimo to wołają nasze publikacje z idealnym polotem, by tylko u naszych kupowa , zapominając, że to towar cudzy, do nas sprowadzony, ale najczęściéj z naszych surowych płodów przerobiony. Gdybyśmy mniéj idealny mieli polot, wołalibyśmy o fabryki, o przemysł, któryby naszą wełnę na sukno, nasz len na płótno, naszą pszenicę na mąkę, nasze surowe skóry na skórę do obówia, nasze buraki na cukier, nasz tytoń na dobre cygara, nawet nasz spirytus na wyroby wyższe przerabiały, skutkiem czegobyśmy się, jako naród, wzbogacili, kiedy obecnie tylko na to pracujemy, by napełnić kieszenie ościennych narodów, które prócz tego, że im z nas materjalne korzyści przybywają, jeszcze mają — temat do śmiechu z naszego idealnego polotu.

Obowiązkiem prasy jest, — wedle mego widzimisię, — zwrócić uwagę ogółu na te niedomagania nasze, i skoro tylko nastręczy się sposobność, pokazać narodowi środki do wyleczenia się z choroby. Stymulować idealizm w nas, pobudzać go do coraz wyższego w obłokach polotu, znaczy — znów wedle mego nader indywidualnego pojmowania rzeczy, — lać petroleum do ognia, żeby się zupełnie modnie wyrażać; starać się o to, żebyśmy się czem prędzéj z ociężałą materją rozstali

Jednak dotąd nasza prasa tego obowiązku nie pełniła. Na zabój milczy o wszystkiem, co się u nas dzieje w dziedzinie rzeczywistości, materji, jakby nas to wcale a wcale nie obchodziło, jakby to się działo nie na polskiéj ziemi, ale gdzieś tam u Kafrów lub Hotentotów.

Pozwoli czytelnik próbkę, dla przekonania, że nie przesądzam, lecz że prawdę mówię.

Produkcja rolna obecnie jeszcze jest u nas najważniejszém zajęciem prawie wszystkich, bo i nie rolnik-Polak jakoś ma pociąg do rolnictwa. Rola zatem stanowi u nas prawie jedyny kapitał narodowy, czyli raczéj jedyny warsztat do produkcji, — a ta rola nasza strasznie zaniedbana.

Za granicą od lat trzydziestu przynajmniej na łeb na szyję meljorują pola i łąki za pomocą podziemnych rowów, — drenów, — i skutkiem tego ościenne narody doszły do tego, że ich plony się podwoiły lub potroiły, że niepłodne dawniéj ziemie, dziś są pysznemi łąkami lub ogrodami. Któż nie pamięta częstych głodnych lat w Irlandji? Lecz biadanie na głód w owym kraju należy już prawie do historji, do minionéj przeszłości, a za nowe kilkadziesiąt lat, ludzie nie będą mogli pojąć, jakim sposobem w ogóle mogło powstać to, co jeszcze obecnie ogólnym nieurodzajem zowiemy. My, naród idealny, przez ten cały czas tylko wyśmiewaliśmy się z głupich sąsiadów, którzy pieniądze zakopują w ziemię, aż wreszcie teraz spostrzegliśmy, że nietylkośmy w tyle pozostali z produkcją, że się nawet cofnęliśmy, ale oraz, że skutkiem naszego idealnego

życia zabrakło nam funduszów do tak ważnego przedsięwzięcia.

Przychodzi „Spółka meljoracji gruntów“; ofiaruje się odrenować nasze pola, irrygować nasze łąki, bylebyśmy jéj dali rękojmię, że jéj kapitał z umiarkowanym procentem oddamy. Nie chcę tu pisać panegiryku na tę Spółkę; broń Boże! Ona nam żadnego dobrodziejstwa nie chce robić, bo się składa z ludzi wcale nie głupich, szukających przedewszystkiém swojéj korzyści. Lecz kiedy obok tego, z wykonania meljoracji cały kraj skorzysta, działalność Spółki już wychodzi za obręb zwyczajnéj finansowéj spekulacji, a wkroczy do dziedziny publicznéj, podpada zatém pod sąd publiczności i jéj organów. Ależ dotąd prócz Tygodnika Wielkopolskiego ani jeden organ nie wspomniał w obszerniejszym artykule o Spółce meljoracji, ni o ważności meljoracji, jeśli anonse wyłączamy, które, prawda, że były wydrukowane. Otóż i jeden fakt.

Kapitału nie mamy! Tak krzyczy każdy, gdy jest mowa o jakiemkolwiek przedsięwzięciu i w którąkolwiek stronę się obrócisz, echo odpowiada — nie ma kapitału! Aż tu występuje Dr. Rejewski z broszurką: Warunki fundamentalne dobrobytu i organizacji finansowo-społecznéj oraz wykaz szczegółowych przyczyn dla których zakładanie banków zabezpieczeń **trzeba rozpocząć od banku zabezpieczeń na życie**, a nie od banku zabezpieczeń od ognia, a tu znów prasa, przewódzca nasz na drodze rozwoju intellektualnego i materjalnego milczy, jakby ta broszurka z tém co ona przedstawia, tyczyła się nie nas, a mieszkańców państwa utworzonego przez p. Montepin na Wenerze, a w którém ma swoją rezydencję Lucyper i małżonka jego Eloë. Zaiste żyjemy idealnie, mamy polot idealny i obawiamy się widocznie stracić ten polot, który jest naszą ozdobą, a może i naszą — zgubą! (Ciąg dalszy nastąpi.)

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Dalszy ciąg).

Nie było już tu co dłużéj robić, przed 3 godziną rozpoczęliśmy odwrót do domu, lecz zupełnie inną drogą. Przed soba ujrzeliśmy, jakby mrówki coś żyjącego dążącego ku nam na Małołączniaka z Kopy Kondrackiéj; za pomocą lornetki rozróżniliśmy dobrze osoby, dwóch z nich było moich znajomych, jak się pokazało przy spotkaniu X. Ig. z Litwy i p. Gl. Lecz zdziwiło mnie spotkanie ich tu o tak późnym już czasie; opowiedzieli mi, że z Zakopanego idąc przez Kuźnice na Kondratową w celu wyjścia tędy na Czerwone Wierchy utknęli w oberzy i wino spijali kilka godzin. Przewodnik ich zwany Tandziokiem, istny gawron, rad, że mu wina dawano, nie naglił do drogi nieświadomych wycieczek po Tatrach, i przez to późno zdążywszy na wierchy, nim dosięgli szczytu Małołączniaka, mgła już nietylko wierzchołki gór, ale ich samych objęła. Była dopiero 3 godzina po południu. Przytém ciasne mieli obówia, nogi im poodzierało, szli w szkarpetkach, przeto schodzenia po skałach wcale im nie można było zazdrościć. Wkróte straciliśmy ich z oczów, szlismy przełęczą (5484) łączącą Giewont z Czerwonemi Wierchami, ale nam się nie chciało na jego wie ch pod górę drzeć się bez celu, skoro za podnóżek Czerwonym Wierchom może służyć.

Dawniéj byłem na wierzchu Giewontu w owéj szczerbie pomiędzy dwoma jego wierzchołkami; strach bierze, jak się ztamtąd spojrzy w dolinę Strążysk, tak jest stroma przepaść. Śniegu płat zalegał małe pod szczytem zagłębienie, ciekącą ztąd z topnienia wodę czerpaliśmy spragnieni, lecz jak deszczówka bez smaku tę tylko zaletę posiadała, że była zimną. Oprócz najwyższego czubka Krywania ztąd już nie widać wierchów ani Spizkich ani Liptowskich, jedynie północ ztąd widoczna, a więc Podhale, a za niem Beskidy.

Z wspomnianéj przełęczy Kondrackiéj między Giewontem a Ropą Kondracką puściliśmy się na dół po stromem zboczu do Piekła, ale nie ewangielicznego. Tak się bowiem tu zwie, trudno wiedzieć dla czego, kotlina u stóp Giewontu od południa, gdzie się poczyna dolina Kondratowa. Napotkaliśmy w drodze ściekającą wyborną wodę z niepodal tryskającego źródła + 2·8 Rm, daléj strumyczek się powiększał, nowemi wypływami zasilany, nim w dolinie zniknął pośród żwiru.

Opierając się parciu własnego ciężaru, biegliśmy prędko na dół, a przed nami w dolinie Kondratowéj szałasi, różne szopy oznajmiały siedlisko ludzi. Bydło się pasło, ale ludzi znać nie było, zeszła się osada pasterska do szałasu, zkąd nas głos kobzy dolatywał. Jakiś juhas wygrywał na niéj, dobywał tonów, jakie tylko mógł, pomimo tego nudny to bardzo instrument, jeżli śpiewkami nie urozmaicony. Powitano nas ochoczo, poczęstowano żętycą, pogwarzono o tem, co się dzieje w świecie, bo górale chciwi wiadomości, o polityce radzi gadają; w końcu po miłym odpoczynku puściliśmy się w dalszą drogę już po 5 godzinie.

Dolina Kondratowa zamknięta na około górami, sama w sobie nic szczególnego ani pięknego nie zawiera. Polanę niszczy góralom lada większa burza, zamulając trawę żwirem wapiennym niesionym wodą z sąsiednich wierchów. Potok, który się dopiero koło Kalatówek z pod ziemi wydobywa, przez Kondratową płynie niewidomie w głębi żwiru.

Minąwszy polanę Kondratową weszliśmy w las nie dróżyną jednak jezdną lecz ścieżkami powiódł nas przewodnik dla uproszczenia drogi. Napotkaliśmy w lesie ślady strasznéj burzy; drzewa stare olbrzymie sterczały u dołu pni poodzierane głazami wodą toczonemi. Spore koryto, głazami zawalone, zupełnie suche, dawało nam pojęcie o sile żywiołów, jeżli złomy, które aby dźwignąć, nie wiem, ileby ludzi potrzeba, woda unieść zdołała. Wpół godziny wyszliśmy na drogę jezdną; ciszę dotychczasową przerwał nam szmer zdala dolatujący, coraz silniejszy w miarę postępowania naszego naprzód, aż wreszcie ukazał się sprawca hałasu. Staliśmy na brzegu drogi, a poniżéj z pod stóp naszych z pod ziemi, z pośród głazów wydobywał się silny potok spadający na dół po kamieniach stóp może 40. Nagłe to zjawisko u osób, co tu pierwszy raz przychodzą, budzi wielki podziw i ztąd czynią goście z Zakopanego wycieczki wyłączne w to miejsce, do tak zwanego źródła Białego Dunajca, a właściwie Bystréj. Uczeni zaś nazwali go nie źródłem lecz wywierzyskiem Bystréj, bo strumień nie poczyna się tu dopiero, lecz wydobywa z pod skał, płynąc już jakąś część pod pokładem ziemi. Źródłem Białego Dunajca w żaden sposób nazwać tego nie można, bo nazwa ta strumienia powstaje dopiero we wsi tego nazwiska przeszło o milę od Zakopanego

po połączeniu się potoków, które dotąd płyną pod swojemi osobnemi nazwami, jak właśnie ten, co ztąd się toczy, zowie się Bystrą, a nie Dunajcem. Niech się zresztą nazywa jak chce, źródłem czy wywierzyskiem, to bynajmniéj nie ujmuje wspaniałości zjawiska przyrody. Głazy zielenią porosłe, kwiatami, mchami umajone płucze o kryształowem przezroczu woda zimna (+ 3° Rm. na wysk. 3660′) w smaku wyborna, nim, pieniąc się śnieżną białością w biegu na dół spłynie potokiem. Najwspanialéj wygląda to źródlisko z dołu z po za potoku.

Po nasyceniu się wodą i jéj widokiem ruszyliśmy w drogę, która nas po kilkudziesięciu krokach wywiodła na piękną polanę od jéj właścicieli Kalatów, Kalatówkami zwaną. Rozkoszne jéj położenie na wzniesieniu (3652′) pod grzbietem Giewontu z otwartym widokiem na Wierchy koło Magury i Goryczkowéj, którędy konfederaci barscy armatki przeprowadzali, uchodząc do Węgier.

W głębi lasu huczy potok, dopiero co z uwielbianego przez nas źródliska uszły. Szopy na siano, a po nad łąką szałas pasterski urozmaicają okolicę; wieczorem gdyśmy wracali, roiła się polana ludźmi, drogą toczyły się wózki drzewem naładowane, a bydło zganiano do podoju. Po zwykłych pozdrowieniach według zwyczaju, po kilku słowach żartów, o jakie łatwo w górach przy wesołości i gadatliwości górali a zwłaszcza góralek, minęliśmy Kalatówki, zdążając ciągle już odtąd na dół, lasem po głazach do doliny Bystréj po nad Kuźnicami. Napotkaliśmy tu mnóstwo źródeł, co kilka kroków nowe, wszystko to składa się na potoki, które poruszają Kuźnice, rozsiane po dolinie Bystréj. Odtąd znaną nam już drogą, w poprzednich wycieczkach opisaną, szliśmy do chaty wzdłuż Kuźnic, potem lasem aż w końcu wychylił się szereg domostw zakopiańskich koło kościółka. Dolina Zakopanego nie uśmiechała się pogodą, Giewont znów począł przybierać groźną minę, o jego czoło rozbijała się mgła, która już sąsiednie wierchy w zupełności zakrywała. Koło 7 godź przybyliśmy do chaty szczęśliwie, bo mgła wierchów się uczepiła, gdyśmy już z nich schodzić poczęli, a więc cel wycieczki osiągnęliśmy, wróciwszy przytem sucho bez deszczu do domu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DO ZAGNIEWANÉJ.

Już jasne słońce na nieba błękicie,
Jak złota tarcza nad ziemią jaśnieje —
U wszystkich ludzi dziś w pełnym rozkwicie
Uśmiech na ustach, a w piersi nadzieje.

Ptaki wesoło bujają w przestrzeni,
Lub też swawolnie za motylkiem gonią,
Albo się skrywszy gdzieś w krzewów zieleni,
Cudne piosenki na cześć Stwórcy dzwonią.

Kwiaty rozwarłszy swe wonne kielichy,
Z rozkoszą piją drobne perły rosy —
W dali gdzieś, słychać puste dziewcząt śmiechy,
I tony śpiewów lecących w niebiosy.

O! wszystko dzisiaj rozkoszą oddycha,
Wszystko wśród szczęścia cieszy się i śmieje —
Moja pierś tylko z tęsknoty usycha,
Umysł, rozpaczą znękany, szaleje.

Bo ta, co dla mnie jest wszystkiém na świecie,
Chmurką powlekła dziś swe piękne czoło,
Gniew jéj! jak kamień do ziemi mię gniecie,
I straszno, smutno, ciemno mi w około. —

O despotyczna Pani mojéj woli!
Mojego szczęścia i życia i losu!
Racz spojrzeć na mnie, jak mnie gniew twój boli,
I racz wysłuchać mojéj prośby głosu:

Cudnym uśmiechem rozjaśnij twe lica,
I spojrzyj na mnie — o bo mi potrzeba,
Uśmiechu twego, który mię zachwyca,
Jak blasku słońca, tak jak łaski z nieba.

Tarnów 27 lipca 1871. A. Kamieński.

TEORJE POLITYCZNE XVI. WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

I.

Teorje i pamfleta stronników Reformy.

(Ciąg dalszy.)

Powyżéj wspomnieliśmy już, jak Luther uczciwe pełnienie obowiązków władzy zwierzchniéj zaleca, z drugiéj jednak strony wymaga on bezwzględnego posłuszeństwa dla niéj, choćby ta niesprawiedliwą była. „Bóg bowiem, mówi on, często odbiera władzę pobożnemu człowiekowi, aby ją oddać w ręce łotra, często też powstaje zła władza przez zdradę złych ludzi lub spadek.“ Z tak postawionéj zasady posłuszeństwa władzy, nie ma dla słabych pociechy, nie ma nadzieji, jedyny bowiem opór, zdaniem Luthra, może być tylko bierna cierpliwość, ten obowiązek prawdziwego chrześcijanina — lepiéj cierpieć bezprawie, niż je samemu czynić, oto jego ostatnie słowo.

Znane nam z historji stanowisko jakie Luther przybrał w głośnéj sprawie Michała Kohlhase z rycerzem Tronką i elektorem Saskim i sposób jego wystąpienia podczas wojny chłopskiéj, najdobitniéj dowodzą, jak on był wierny raz przyjętéj zasadzie. W wezwaniu swojém do pokoju odzywa się on do książąt i panów dowodząc im, iż powstanie chłopskie spowodowane zostało ich własnemi bezprawiami i jest słuszną karą za samowolę i nadużycia. Nalega on silnie, aby postępowanie względem ludu było miłosierne i sprawiedliwe, inaczéj bowiem brak dobréj woli zastąpiony będzie siłą, a chłopi, uległ-

szy tysiąc razy, nareszcie zwyciężą[1]). Zwracając się znowu do chłopów, nalega aby się upokorzyli, gdyż Bóg ich za tak niechrześcijański bunt karać będzie. Wiadomo jest powszechnie, jak gwałtownie Luther przeciw chłopom pisał i kazał; w liście do nich wystósowanym pisze: „Chcecie oswobodzić wasze dobra i osoby, chcecie władzy i dóbr ziemskich. Nie chcecie cierpieć bezprawia. Ewangelja co innego uczy, stawia ona życie zewnętrzne pośród cierpień, niesprawiedliwości, krzyża, cierpliwości i pogardy. Cierpieć, cierpieć, krzyż, krzyż... oto czego uczy Chrystus“, a dalej: „Nikt nie może być sędzią we własnéj sprawie, a sposób postępowania władzy nie usprawiedliwia rewolucji.“ Ze słów tych łatwo pojąć, jak dalece Luther był przeciwny wszelkim ulepszeniom socjalnym, chcącym się uformować na jego zasadzie wolnego rozbioru, pod zasłoną jego imienia. Jeżeli jednak wolność osobista i towarzyska człowieka bynajmniéj go nie obchodziła, to też i wolność obywatela państwa i sprawy ojczyste również mu były obojętne. Wiadomo nam z historji z jakiém oburzeniem powstał Luther przeciw związkowi szlachty niemieckiéj w Landau, która, pod wodzą Franciszka von Sickingen i Ulricha von Hütten, wówczas już wielką ideę jedności Niemiec urzeczywistnić chciała[2]).

Wyzionąwszy całą falangę przekleństw przeciw tym wielkim patrjotom, a swoim najczynniejszym obrońcom, którzy podczas sejmu w Worms w roku 1521 za jego sprawę z zebranemi Włochami i Hiszpanami rozprawić się chcieli, mówi on w piśmie „an den christlichen Adel deutcher Nation“:

„Miéj obrócone oczy na władzę, milcz, trzymaj spokojnie rękę i serce, nie mięszaj się do niczego tak długo, aż Władza ręki do dzieła nie przyłoży i rozkazu nie wyda. Jeżeli możesz przyczynić się do decyzji władzy, rób to; czego ona jednak nie chce, tego i ty chcieć nie będziesz, inaczéj sprawiedliwość nie będzie za tobą.“ „Będę zawsze trzymał stronę partji, choćby niesprawiedliwéj, która znosi rewolucją, przeciw téj partji, choćby sprawiedliwéj, która ją robi.“ Daléj mówi w tymże miejscu: „Władza i miecz są dane przez Boga dla protegowania dobrych, karania złych i tępienia rewolucji. Jeżeli rewoltuje się ogół, to władza nie mogąc rozróżnić dobrych od złych: schläget in den Haufen, wie es trifft.“

Luther jest tak wielkim zwolennikiem istniejącego porządku, tak niezłomnie stoi przy swych zasadach, iż nie życzy nawet postępu reformy religijnéj, jeżeli ta przez panującego monarchę popieraną nie jest[3]).

Od tych teorji Luthra różnią się nieco ideje Melanchtona (Schwarzerd), w zupełności zaś inne są zapatrywania się praktyczne Zwinglego.

W dziele swojém „Disputationes de rebus politicis“ rozróżnia Melanchton porządek duchowy od porządku zewnętrznego, czego Luther nie robi, ignorując zupełnie rzeczy doczesne. Porządek duchowy, mówi Melanchton, jest rzeczą ewangelji, która nas uczy, jak należy przestrzegać sprawiedliwości wewnętrznéj; porządek zaś zewnętrzny jest rzeczą władzy cywilnéj, która opierając się na voluntas permissiva Boga jest też dziełem rozumu ludzkiego i prawami jego kierować się winna. — W tym samym dziele mówi on, iż Bóg uznaje wszystkie potrzebie odpowiednie formy rządu, tu wolność, tam niewolę i różne jéj stopnie. Wolność, mówi on, nie jest anarchją, polega ona na tém, aby ludzie byli rządzeni pewném stałém prawem, które zarazem ogranicza władzę króla. Zwierzchnéj władzy nadaje Melanchton tak jak Luther początek boski, jeżeli jednak ten ostatni ogranicza ją tylko wolnością sumienia, to Melanchton dodaje do tego prawo własności prywatnéj, które władza szanować i strzedz jest obowiązaną[1]).

[1]) Thun's diese Bauern nicht, so müssen's andere thun. Und ob ihr sie alle schlüget, so sind sie noch ungeschlagen. Gott wird andere erwecken, denn er will euch schlagen, u. wird euch schlagen.

[2]) Patrz w tym względzie interesujące dzieła: Straussa „Ulrich v. Hütten.“ Müncha „Franz v. Sickingen.“ Rankego „Geschichte der Reformation.“ Zimmermanna: „Gesch. des grossen Bauernkrieges.“

[3]) Patrz listy Luthra do elektora saskiego Jana z 28 listopada 1529 i z 6 marca 1530 r.

§. XI.

Zupełnie wyróżnia się od innych Reformatorów jasna postać Zwinglego. Człowiek ten wychowany na studjach Humanistów zostaje do Luthra w takim stosunku, jak Empirja do Mistyki. Czynność jego nie ograniczała się na reformowaniu spraw religijnych, lecz też na braniu udziału i wywieraniu przeważnego wpływu na sprawy polityki ojczystéj. Zawzięty wróg wszelkiéj władzy kościelnéj w proboszczu widzi prawdziwego biskupa, w gminie zaś państwo. Na wszelkie ze strony kościoła stawiane pretensje, na objekcje nawet luteranów-orthodoxów odpowiadał zawsze krótko: „Von dero weisst die heilig schrift nüt.“ Duch Zwinglego był czysto republikański, takie było jego życie i uczynki, taką była jego bohaterska śmierć z krzyżem w ręku na czele górali pod Cappel na Alpis.

§. XII.

Intellektualna i moralna natura, cała działalność Kalwina, jego życie i losy, jego postępowanie, różnią się w zupełności od dwóch już wspomnianych Reformatorów. Teokrata i hierarchista Kalwin przewyższa o wiele wykształceniem pietystę Luthra i surowego republikanina Zwinglego, zapatrywania się jego jednak na państwo i życie doczesne bardziéj jest jeszcze ułomne, jak tamtych.

Kalwin podobnie jak Luther nie troszczy się bynajmniéj o wolność człowieka, w rozczłonkowaniu jednak ducha ludzkiego idzie tak daleko, iż istnienie wolności duchowéj obok niewoli cywilnéj uważa za rzecz zupełnie możliwą, nawet normalną. „Jak chleb i woda, jak słońce i powietrze, tak powaga w państwie panować winna.“ Państwo Kalwina ma posłannictwo religijne: „Przestrzegać ono winno, aby prawdziwa religja, to prawo boże, nie była publicznie gwałconą, aby imie Boga nie było znieważane.“ Ideałem Kalwina, — jako publicysty, w praktyce bowiem postępował inaczéj — jest arystokracja kilku u steru państwa, rządząca resztą podług własnego uznania[2]).

Zdaje się, iż wszystkie reminiscencje barbaryzmu w teorji politycznéj Kalwina podały sobie ręce. Widziemy w tym państwie bożém żydowską teokrację i ideje chrześcijańskie wieków średnich, pobożny purytanizm i całą srogość tyranji, słowem wszystko, co on w Genewie rządami swemi praktycznie przeprowadzał. Sam Kalwin był żywym obrazem średniowiecznego mnicha, który zadając samemu sobie najdotkliwsze umartwienia, nie ma też i dla drugich litości przy karaniu najdrobniejszych przestępstw.

§. XIII.

Mając przed oczyma taką cechę charakterystyczną nauki Luthra i Kalwina, pomimowolnie przychodzi zapytać się, zkądże to powstali czynni następcy biernéj pierwiastkowo Reformy, zkąd to powstali mężowie wojny 30-letniéj, z czyjego to łona wyszły takie osobistości jak Coligny, Johanna d'Albret, Knox, d'Aubigny,

[1]) Patrz Melanchtona: „Epitomae phil. moralis.“ Cap. „De jure proprietatis.“

[2]) Minime negaverim aristocratiam, vel temperatum ex ipso et politio Statum aliis longe omnibus excellere. — Calvin. Institutio christiana.

John Milton a nawet przewrotny Olivier Cromvell? Jakie to zasady przewodniczyły orszakowi pamflecistów politycznych obudzonych głosem dzwonu w nocy św. Bartłomieja?

Odpowiedź na to będzie łatwą, jeżeli przypomnimy sobie, iż rzeczywistą zasadą Reformacji jest niezawisłe od powagi, samodzielne zagłębianie się w rzeczy dotyczące nietylko sumienia, ale całego życia osobistego, familijnego, społecznego i politycznego. Zasada ta Reformacji jest zarazem zasadą wolności i postępu, tak nierozdzielnie związanego z naszym interesem, instynktem i niczém nieprzezwyciężoną dążnością. Do téj zasady, z której sami powstali, dodali pierwsi reformatorzy doktrynę łaski i przeznaczenia, widząc zaś niemożność pogodzenia obu, zmuszeni naturą swego położenia, wiedzeni instynktem materjalnie uzasadnionym zabezpieczenia bytu nowo powstałemu dziełu pośród wrogiéj mu przemocy, oddali się wyłącznie pielęgnowaniu doktryny kosztem zasady, wiara bowiem silna we własne zasady niepozwalała im wątpić, iż silniejsi od nich ich następcy, do niéj powrócą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Szanowny Redaktorze!

Pytanie VIII umieszczone w 31 num. twojego pisma mocno mnie zajęło, dowodem czego, że mimo chronicznego lenistwa spieszę na nie odpowiedzieć. — Jaka jest różnica pomiędzy taktem a sztywnością i pruderją? — Kwestja ta potrąca o nasze kobiety i daje mi tym sposobem oprócz ciekawego przedmiotu, sposobność do małéj pomsty nad panią czy panną Heleną trzy gwiazdki, która z taką werwą i dowcipem niedawno w piśmie waszém obrobiła młodzież wielkopolską.

Chcąc uwydatnić różnicę pomiędzy taktem a sztywnością i pruderją dosyć byłoby, jeżelibym wskazał na to, że takt jest następstwem istotnéj skromności i poczucia godności osobistéj — a sztywność i pruderja najczęściéj dowodzą próżności i zbytecznego doświadczenia, a w ślad za tém drażliwości i hipokryzji. — Takt jest cnotą towarzyską — trudną do nabycia i nader cenną — delikatność rozumu i serca wskazujące niby busola, jak w danym razie postępować należy, stanowią jego istotę. — Mężczyzna lub kobieta taktowna nie tylko nie krępują towarzystwa w którém się znajdują, ale owszém umiejętnością nagięcia się do rozmaitych usposobień, trafnością postąpienia w ambarasujących sytuacjach, ożywiają zgromadzenie i wprowadzają w nie pełną elegancji swobodę. —

Tymczasem sztywność będąca cechą pruderji i od niéj nierozłączna czyni indywiduum obdarzone tą smutną dolegliwością dokuczliwém całemu towarzystwu, — zadąsaném bez wyraźnego powodu — mrożącém swoją miną śmiech wesoły lub rozmowę — wytwarzającém co chwila kłopotliwe i ciężkie milczenie.

Tu czas od uwag ogólnych przejść do szczegółowych. — Nigdzie wydatniéj się nie pokazuje różnica o której mówimy, jak w kobietach. Nabycie taktu jest dla nich rzeczą bardzo łatwą, często zda się, że mają ten przymiot z przyrodzenia. — Jednakże sztywność i pruderja znajdują się także po największéj części pomiędzy kobietami. Winne temu zwykle stosunki miejscowe; w wielkich miastach trudno o powyższe wady, w mniejszych, do których się liczy i nasza stolica prowincjonalna, Poznań, młode osoby oblegane od plotek, czując w około siebie czyhającą złośliwość — która, w braku poważniejszego zajęcia, goni za bliźnim wszędzie, aż do jego kółka rodzinnego nieraz, zmuszone są stać wiecznie na straży swojego i obcego słowa — uśmiechu — spojrzenia — wszystkich podejrzywać — najserdeczniejszym nawet nie ufać, i to nadaje im tę sztywność, świadectwo kajdan moralnych, które noszą. —

Umysły szersze i trzeźwiejsze, energiczniejsze serca, umieją się wyemancypować z téj wieczystéj trwożliwości i poprzestając na głosie własnego sumienia i sądzie osób, które szanują, odzyskują drogą swobodę. — Takich jednak nie wiele. — Większość woli hołdować opinji reprezentowanéj przez kilkanaście zaostrzonych języczków i wdziewać na siebie maskę, którą przyzwyczajenie wnet w naturę wcieli i przerobi*).

Tu czas odpowiedzieć pannie Helenie trzy gwiazdki. — Młodzież poznańska niezręczna i szorstka — bo nie uczęszcza do towarzystw. Nie uczęszcza — a dla czego? — Bo za wejściem do salonu spotka cały rząd młodych osób albo uszykowanych w jednym rogu obok siebie, albo przechadzających się ze sobą, na których twarzy wypisana taka rezerwa i sztywność, że wchodzącego mrożą. — Wszystko, jest lodowate od ukłonu aż do zaczynającéj się leniwo, niezgrabnie rozmowy, gdzie na trzy zapytania przypada ledwo jedna odpowiedź wyraźna ze strony panny. — Posłuchajcie w tych zamienianych zdaniach drobnostkowych przedmiotów jaka nieufność — jaki pojedynek na ogólniki, jakie wymijanie. —

Mówimy tylko o handlu — nowinkach dziennych itd. Ba! i o czemże mamy mówić. Może o uczuciach i przekonaniach. Nie radzę próbować! Mamy się krzywią, panny są zaambarasowane: definicja miłości albo obowiązków kobiety — rozróżnienie formy i ducha w religji, pogląd na prawdziwą pobożność, apostrofa przeciw bigoterji wywołują złowróżbną ciszę, ciężącą jak zmora na piersiach biednych mężczyzn. — Panny nie wiedzą co robić z rękami i oczami — zuchwały mówca zgubiony — w następstwie wszystko się od niego odsuwa. — Pruderja ta rozciąga się aż do wyrazów. —

Uważałem, że kiedy w pośród pewnego towarzystwa upadł z ust jednego młodzieńca wyraz surdut, odpowiedziało nań tyle rumieńców — ile było kobiet. Bo też to shocking nieprawdaż pani, czy panno, Heleno, trzy gwiazdki?

Ro...ski.

*) Mimo że ta odpowiedź nie rozwiązuje w zupełności pytania — dla trafnych kilku uwag zamieszczamy ją.

Przyp. Red.

POKŁOSIE.

Hystorya niemiecko-francuskiéj wojny w rokach 1870 1871. Racibórz Nakładem u V. Wichura i Cie.

Pod takim tytułem wyszła w Raciborzu broszura obejmująca historją ostatniéj wojny. Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad jéj formą, treścią i tendencją, wyliczać zawarte w niéj fałsze i niedorzeczności — czytelnik sam oceni wartość téj nędznéj elukubracji, tłomaczonéj z niemieckiego, gdy przytoczymy kilka wierszy wstępu:

„Zwycięstwo! zwycięstwo! zwycięstwo! tak brzmiało przez wszystkie kraje, jak daleko niemiecki język sięga, ucisk, który na niemieckich sercach leżał, jest odjęty przez niemiecką krew i niemiecką mężność. Pokój a to błogosławiony i chwalebny pokój nam wyrosł z krwawego siewu, który nam nasz dawniejszy główny nieprzyjaciel, francuski sąsiad, nasiał, aby z niezgody niemieckich narodów, któréj się spodziewał, owoc powiększenia Francyi, pewny pobyt swego panowania a rozdrabnianie niemieckiéj ziemi żniwować. Kara zwierzchu tego dosięgała, który ludzi od dawna nie za współstworzenia, tylko za środek swych samolubnych zamiarów uważał, który na rozmaity sposób udawał wolność narodu uzasadnić, podczas jego zależność od swego rozkazu arbitralnego w oku miał i t. d.“

Takie i tym podobne dziwolągi drukują szanowni nakładcy

w Raciborzu, Brodnicy, Wadowicach i t. p. — Panowie Wichura, Koehler, Foltyn et Consortes — a wielu z naszych księgarzy, którzy dzieła rzetelnéj wartości pozostawiają przez rok cały w nieotworzonych pakach, protegują tego rodzaju utwory. Na dowód twierdzenia naszego podajemy fakt, że powyższa Hystorya jest na składzie w dwóch księgarniach poznańskich.

* * *

Jako rzecz godną wiecznéj pamięci wspomina pewien biograf współczesny, że mąż, o którym pisze, „darował kościołowi, przy którym był proboszczem, cały swój księgozbiór składający się z ośmiudziesięciu trzech książek.“ Testator umarł r. 1815 dnia 1go czerwca, — a biograf żyje w kraju, gdzie każda książka jest rzadkością bibliograficzną.

* * *

Muzeum Narodowe Polskie.

Zarząd Muzeum historycznego w Rapperswylu przesłał dziennikom różnych krajów cyrkularz, który brzmi jak następuje w wierném tłomaczeniu:

Zamek Rapperswylu 24 lipca 1871 r.

Wśród wielkich klęsk Polski okazuje się symptomat pocieszający, jest to jéj żywotność któréj sto lat męczeństwa nie mogło osłabić. Pozbawiona niepodległości i wolności, przechowuje je w wyższych sferach moralnych, gdzie się skupił jéj patrjotyzm Ogołocona systematycznie z muzeów i bibljotek, znalazła dla swych penatów schronienie na ziemi gościnnéj, dającéj wszelką rękojmię bezpieczeństwa na przyszłość. Tak, przy pomniku internacjonalnym poświęconym pamięci stuletniéj walki Polski, starodawny zamek odnowiony stał się jéj Muzeum Narodowem. W tém dziele poświęcenia i współczucia przyjaciele polscy w Europie i Ameryce biorą czynny udział, i dary historyczne i artystyczne zewsząd są nadsyłane.

Muzeum posiada znakomite zbiory autografów, aktów i dokumentów, medalów i monet, przedmiotów kunsztu, wykopalisk, sztandarów polskich z różnych epok. Bibljoteka odznacza się już ważnemi materjałami historycznemi i codzień się wzbogaca. Rzadkie edycje przybyły i liczne dokumenta dotyczące szczególnie wojen szweckich. Polska w tym przybytku jest reprezentowaną pod różnemi formami: historyczną, naukową, literacką i artystyczną Są tam obrazy, sztychy, litografje, rzeźby, i ta manifestacja geniuszu polskiego jest bardzo zajmującą. Muzeum chociaż poświęcone Polsce, przyjmuje dary historyczne odnoszące się do innych krajów.

Hr. Wład. Plater.

* * *

Jakie jest właściwe nazwisko Feliksa Antoniewicza, który roku 1861 wydał w Gnieźnie u J. B. Langego „Historję polską w zarysie..., napisaną dla początkującéj młodzieży?“

* * *

Czy téż jeszcze istnieje rękopis „Dziennika podróży do Jass z r. 1828“, skreślony przez księdza-jezuitę Karola Antoniewicza de Bołoz, z którego wychodzący r. 1839 we Lwowie „Sławianin“ zamieścił na str. 152 ustęp p. n. „Jeden dzień życia mego?“

* * *

X. Sadok-Barącz wykazując w drugim tomie swego „Rysu dziejów zakonu kaznodziejskiego w Polsce“, na str 76 Alberta, zwanego Porlesiensis, pisze o nim co następuje: „Poeta i teolog, słynął około 1500 roku, listy i poezje jego mają być umieszczone w dziele św. Antonina „Summa moralis.“ Altamura i Luzitarus wspominając go zaszczytnie, Polakiem go nazywają.“ — Przytoczony tu św. Antonin jest niezawodnie tego imienia arcybiskupem florentyńskim, zmarłym r. 1459; z Altamury znamy dwóch dominikanów i autorów: Ambrożego i Jana de Altamura; kto zaś ten Luzytańczyk, to chyba sam autor nam powie. — Powyższy zapisek X. Sadoka-Barącza powinien był w każdym razie pobudzić naszych badaczy do dalszych w téj mierze poszukiwań, co czy nastąpiło, nam niewiadomo. — Gdyby naszym czytelnikom zdarzyć się miało, spotkać się z postacią powyższego Alberta, prosimy o podanie nam odnośnych źródeł lub wskazówek.

* * *

Korespondenta poznańskiego do Kraju, który zapisując, że „nasz Tygodnik Wielkopolski, jako pismo artystyczne, naukowe i literackie, dotąd nie zajmował się rozbiorem kwestji ekonomji społecznéj“, dodaje w liście swoim z dnia 30 lipca, zamieszczonym w num. 175 Kraju, że „dotychczas ani jedno pismo nasze, prócz w Anonsach“ nie wspomniało o spółce drenarskiéj wykonującéj „meljoracje gruntów na kredyt pięcioletni“, — odsyłamy do Kroniki tygodniowéj, zamieszczonéj w num. 23 naszego Tygodnika, która, spisana już przed dniem 3 czerwca, jeżeli nie wyczerpująco, to przynajmniéj o tyle, o ile ramy naszego pisma i uwydatniona dążność jego na to zezwalają, kwestję spółki drenarskiéj traktuje. Nie chcąc posądzać Korespondenta poznańskiego o złą wolę, twierdzimy, że nie czytując naszego Tygodnika, o nim zbyt apodyktycznie wyrokuje. —

Skrzynka do listów.

Panu J... M... w K...: Wysłaliśmy.

Panu A... K.. w K... pod O...: Tygodnik nasz nie cofa się przed greckimi i łacińskimi cytatami, skoro one są koniecznie potrzebne do nadesłanéj nam pracy. — Rozprawę pańską zaczniemy wkrótce drukować, — jeżeli nie w Tygodniku, to w Dziele zbiorowém, które wydać chcemy na pamiątkę stuletniego rozbioru Polski. —

Panu Al. Kam. w Tarnowie. Wiersz Jego „Do zagniewanéj“ w najbliższym numerze umieścimy — drugiego p. t. „Dzięki Ci Boże!“ jeżeli nie będzie skończony, nie można drukować. — Prosimy o dalsze współpracownictwo.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.